N^er 13. Kraków, 31^go Marca. 1863.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 » — » » »
Kwartalnie . 1 » 50 » » »
Miesięcznie .— » 50 » » »

Z Modami paryskiemi.
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie. 5 » 10 » » »
Kwartalnie. 2 » 55 » » »
Miesięcznie — » 85 » » »

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 » 60 » « »
Kwartalnie . 1 » 80 » » »

Z modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 70 » » »
Kwartalnie . 2 » 85 » » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 50 cent. w. a Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Od Redakcyi.

Z dniem pierwszego Kwietnia rozpocznie się nowe ćwierćrocze. Zapraszamy tedy do wczesnego zamawiania naszego pisma, abyśmy wiedzieli, ile egzemplarzy drukować, gdyż unikać musimy tworzenia zapasów, jako uszczuplającego i tak szczupłe fundusze redakcyi.

Do stałych łaskawych naszych Prenumerantek ponownie dołączamy prośbę, aby raczyły usiłowania nasze popierać zachęcaniem zacnych swoich Przyjaciółek i Znajomych do prenumerowania na **Niewiastę**, mając na względzie, że żadne peryodyczne pismo, bez silnego poparcia od czytającej Publiczności, nie może się należycie rozwinąć i dójść do potęgi, do jakiej dójść powinno, aby kraj z niego jak-najwięcej miał korzyści. Nie śmielibyśmy tylekrotnie występować w sprawie własnej z usilną prośbą, gdyby na tem, aby pismo nasze miało znaczną liczbę Prenumerujących, samym Prenumerującym nie zależało tyle, co i Redakcyi, od której nikt sprawiedliwie i rozsądnie wymagać nie może wytężeń nad miarę możności.

O zaległości przypominamy się i prosimy najusilniej o spieszne tychże uiszczenie.

Zaległości wynoszące około 800 zł. w. a. osłabiają znacznie fundusze Redakcyi wcale nie bogatej.

ELŻBIETA MATKA KRÓLÓW.

(*Ciąg dalszy.*)

Żywot Elżbiety płynął cicho we dworze śród ciągłych trosk matki i czynów bogobojnych — to też zowią ją kronikarze dziwnie „bogobojną i pobożną" boć prócz modlitwy, którą odmawiała sama z obowiązku i z dziećmi, jako dobra matka, była ona jeszcze tercyarką jednego zakonu św. Franciszka i odmawiała przepisane modlitwy, pościła posty osobno i inne ćwiczenia, jakie na nią reguła wkładała, najchętniej odbywała. Zbudowała ona swoim wpływem do 25 klasztorów, a na Wawelu jest do dziś kaplica św. Krzyża jako świadectwo żywe jej religijności czystej, a u św. Michała fundacya dla Mansyonarzy, potem różne szpitale jako przytułki dla sierót, wdów i kalek. Przy zatrudnieniu tak uciążliwem, jakie jest każdej dobrej matki przy licznych dziatkach, ona zawsze znalazła wolne chwile i w cichości wyrabiała szaty kościelne, które do dziś jeszcze istnieją, tkała ornaty itd. a dla ubóstwa była litośną i szczodrą. Małżonek rządził w kraju, podawał rękę uciśnionym ludom, odbywał sejmy, jeździł na Litwę i t. d., a małżonka Elżbieta rządziła domem i dziatwą, i tylko jej dobre czyny szły z dworu na jaw i przyświecały narodowi, jak ów ognisty obłok, który towarzyszył Izraelowi na pustyni Arabskiej.

Wychowała też ta dobra matka 4ch synów na królów, jednego oddała niebu za życia, a jednego oddała kościołowi — wychowała równie i tyle córek; z jednej pochodzi dzisiejszy dwór panujący w Berlinie, z innej zaś wyszły królewne za królów duńskich itd. a gdy ją obsiadły te dzieci koło stołu w jaki dzień świąteczny lub uroczysty, to wyglądało to jakby 12tu apostołów, boć ją tak opisują kronikarze i przyrównują do ostatniej pańskiej wieczerzy, na której siedział Zbawiciel z 12 apostołami. Wychowała 6 synów, a każdy z nich był innego usposobienia — widać ztąd, że ta rozumna matka nie miała jednej metody do wychowania, i nie prowadziła dziatek z przymusem podług tej samej metody, ale zostawiła swobodny rozwój każdemu, a sama jako stróż czujny budziła wrodzone przymioty ku dobremu, a osłabiała szkodliwe

wybryki. To też Władzio najstarszy i Kazio jaśnieli za młodu dziewiczą skromnością, potulnością, do tego Władzio był dobrotliwy, sprawiedliwy, miłosierny, a Kazio taki zakonnik twardy, że dobrowolne trudy i posty złamały jego młode ciało i zjednały mu palmę niebieską. Znowu Olbracht był pieszczony najwięcej, ale te pieszczoty nie zrobiły zeń lalki woskowej lub niewieściucha, owszem był to młodzian wesoły, śmiały, rycerski, odważny, ochoczy do czynów głośnych, a pełen wzniosłych przedsięwzięć. To znowu trzej inni: Oleś, Zygmuś, Frydruś, zadziwiali zamłodu bystrością rozumu, pamięcią wielką, szybkością poglądu, przytem powagą i wczesnym statkiem. Matka rozumna rozwijała pobożemu przymioty duszy i serca swych dzieci, uważała, jaka strona duszy przeważa w którem dziecku i na tę najwięcej wpływała, nie upośledzając ani słumiając innych — to też wyszły wszystkie dzieci z pod ręki takiej matki rozumne, zacne, pracowite lub święte. W szeregu matek, które były na tronie polskim, ta Elżbieta jest najwyżej dla tego, że dała wszystkim dzieciom swoim jak najlepsze i ich naturze odpowiedne wychowanie. Do 8go roku trzymała ta matka w domu dziatki pod bezpośrednim dozorem, później oddała je pod dozór męzki—nauczycielem ich był uczony i światły Długosz, pobożny i wzorowy kapłan, potem kanonik i biskup i sławny nasz dziejopis. Wpływał także na te dzieci słynny Włoch Kallimach, historyk, publicysta lubiony na dworze, a później Olbrachta przyjaciel i doradca.

Na chwałę matki i nauczycieli trza i to powiedzieć, że matka choć Niemka rodowita i Kallimach Włoch, nie wychowywali dzieci polskiego króla ani na czystych Niemców, ani na Włochów, jeno zastósowali się do obyczajów krajowych i ducha ojczystego w nich podnosili i żywili—to też dzieci były ulubieńcami narodu; jeden jest królem chwały ziemskiej, drugi chwały niebieskiej, a czasy ich życia są złotą erą.

Nauczyciel i kanonik Długosz woził królewiczów po całym kraju, raz mieszkał z nimi w samym Krakowie, to znowu w Tyńcu, to w Sączu blisko gór Tatrów, to znowu w Lublinie, to zajechał z nimi aż do Wilna i t. d., a to dla tego, aby królewicze poznali kraje ojczyste, aby widzieli na żywe oczy piękności i bogactwa kraju, aby poznali w różnych stronach lud polski z jego strojami, obyczajami i sami umiłowali gorącem sercem te kraje i Naród swój. Podstawą wychowania była wzorowa męzka karność, prawdziwa pobożność, oparta na dobroci serca i dobrych uczynkach, szacunek i cześć dla wieku starszego i dla osobistej zasługi i wartości. Sam ojciec mówił publicznie królewiczom:

„Jam wasz naturalny ojciec i pierwszy, a drugi Długosz, bom ja wam dał życie, a on wam daje naukę.“ To też królewicze byli uległymi dla ojca Długosza i pełni czci. Król ojciec był surowy i sprawiedliwy, to też pochwalał kary wymierzone królewiczom i mawiał: „Niech sobie popłaczą, płacz jest oznaką żalu i prędkiej poprawy“; to też ani pomyśleć było królewiczom o jakiemś miękkiem posłaniu; a mróz, głód i różne trudy i niewygody były im dobrze znane. Matka rozumna nie wzbraniała dzieciom podobnych prób, bo sama była w biedzie w młodości chowana, a powtóre wiedziała, że to dziecię jest szczęśliwe, które umie znieść przykrości głodu lub niedostatku jakiego, które potrafi panować nad losem.

Aby królewicze nie nawykli do zbytku, to na lato stroili się w proste sukienne kontusiki, na zimę zaś w proste węgierskie kożuszki koźle, a koszulki nosili z domowego płótna. Potrawy ich były skromne a zdrowe, ich życie domowe było dalekie od zbytecznych wygód i pieszczót, owszem obeznani byli z dolegliwościami życia, znali i czuli kolce niedoli, to też wchodzili pilnie w niedolę każdego kraju, a Kazio był tak tkliwy, że sam odstąpił łoża swego choremu, a sam przeleżał na gołej ziemi, a obiady jego szły na miseczkach z dworu do chaty ubogich. Takie wychowanie szorstkie dla ciała, skromne dla stroju i oszczędne dla życia, nie tłumiło bynajmniej serca i umysłu, bo królewicze czuli biedę obcą, a potem uczyli się pilnie obcych języków i klasycznej literatury: Długosz robił im wyciągi z głośnych pisarzów greckich i łacińskich, i było to coś nadzwyczajnego i nowego, kiedy królewicze występowali z przemowami po łacinie, to dla ojca, to dla obcych. I gdy nie raz królewicze zdjęli proste kożuszki a wdziali na się adamaszki i karmazyny sute, i przemawiali płynną i czystą łaciną w obec posłów jakich, to rosła duma ojca i matki tem więcej, gdy tacy posłowie wychwalali potem dwór polski poza granicą i uwielbiali ojca i matkę. A jakaż to była chwała w świecie dla tych rodziców, kiedy jeden syn zasiadł na tronie niebieskim, a polska ziemia dożyła złotego wieku w drugim znowu ich synie Zygmusiu. To też głosi kronika pochwały dla królewiczów, zwąc ich „Aniołami“ a ojca i matkę wynosi pod niebiosa za gościnne przyjęcie posła z Wenecyi i za uczone z tymże rozmowy o różnych ważnych rzeczach.

Zwykle w obec licznych gości na dworze, Elżbieta matka nie zasiadała sama nigdy na uczcie, bo takie wystąpienie było przeciwne skromności kobiecej, bo też Elżbieta była tercyarką i nosiła zakonne suknie, a znowu jako dobra i troskliwa matka pilnowała raczej dzieci to w kolebce, to w domu, i nie miała czasu przesiadywać na długich rozmowach z drugimi; zaś ojciec popisywał się z doroślejszemi synami przy gościach, obeznawał ich z publicznem życiem, uczył ich polityki pańskiej, aby pomagać uciśnionym szlachetnie a nie korzystać zdradliwie ze słabszych. Matka pobożna pielęgnowała młode latorośle w domu i zaciszu, i tam dorastały jej córy na matki i gospodynie wzorowe, nim wyszły na jaw z cnotami i przymiotami kosztownemi. A gdy jej synowie byli od niej

daleko, czyto na tronie, czy w dalekiem mieście, to jej płaciła radość i chluba, jak się jedni popisywali dzielnością i zacnością, a inni wyrabiali się w szkole na podobnych ojcu i matce. Gdy obcy rozgłaszali, że królewicze byli „uczonymi" lub „aniołami" to dla serca matki była pierwsza nagroda za jej trudy poniesione i zwyciężone. Aż na jej grobie wystawił jej naród pomnik w dziejach jako matce królów, jako rodzicielce Jagiellończyków, sławnych dobrocią serca, szlachetnością i rozumem. Ale już za życia miała ona nagrodę i zapłatę! Oto Węgry i Czechy słuchały z podziwieniem, co posłowie obcy o królewiczach rozpowiadali. A ponieważ się wtedy trony obce często opróżniały np. węgierski śmiercią młodego Władysława pogrobowca, i znowu Macieja z Huniadów, zwanego Korwina, a Czechy różnemi zamieszkami religijnemi itd., to też wysłali Czechy posłów do Krakowa, prosząc matkę polską o jednego syna na tron czeski; i tak się stało, że najstarszy syn Władysław, syn Elżbiety pobożnej i Kazimierza Jagiellończyka, a wnuk Jagiełły Władysława i cesarza Albrechta II, wybrany został za króla Czech po śmierci Jerzego Podjebrada, który był protestantem i był wyklęty od Rzymu a od swego zięcia Macieja Korwina ścigany i prześladowany. Otóż spełniło się 50 lat później, co zaniedbał dziad i Czechy połączyły się z Polską. A gdy tron Węgier był także opróżniony, a drugi syn Kazimierz Jagiellończyk nie chciał przyjąć korony ofiarowanej, bo on szukał korony w niebie, to spadła druga korona na głowę Władysława, i wtedy to panowali Jagiellony od morza Środziemnego do Północnego. I byłaby potęga Polski zaszła aż po bieguny północne, gdyby był trzeci syn Elżbiety przyjął ofiarowaną koronę Szwedzką! Tak wtedy słynęło imię Jagiellończyków po całym świecie, tak było rozgłośne imię tej świętej rodziny, która miała chwałę na niebie i na ziemi dla zasług ojca, matki i dzieci, że aż pogańska i niewierna Azya np. jeden szach z Persyi, słał do Krakowa posły w turbanach i złotym stroju z prośbą, by król Kazimierz połączył się z nim na Turków, by pomógł zdobyć cesarstwo wschodnie, a za to miała być zdobycz tłusta na wschodzie wianem dla córki szacha i jednego królewicza Jagiellońskiego— ale szlachetny Jagiellończyk, mimo podniety co do wiary i rozszerzenia potęgi swej, nie przyjął wezwania, bo król polski nie zdobywał wtedy ziemi, któraby przypadła w zysku ale skropiona krwią i łzami niepotrzebnie! O jaki to przykład z życia tej rodziny dla całego narodu!

Za przykładem królewiczów i królewnych, chowały się pańskie dzieci w bogatych dworach—rodziny polskie przyjmowały nauczycieli do domu, a tak zapełniły się dwory samymi uczonymi. To też nie dziw, że kwitło wszystko, że nadchodziło żniwo bogate po takiej pracy, że przybliżała się era złota dla przedostatniego Jagiellończyka. To też kroniki zagraniczne chwalą te czasy korony polskiej pod niebiosa. To też akademia Jagiellońska ma sławę świata wtedy, a liczba uczących się wzrasta na tysiące tysięcy! To też wychodzą uczeni polscy, jakby z pod ziemi. Kopernik syn mieszczański, stwarza nowy system świata, a Wit Stwosz także mieszczańskie dziecko, zdobi Polskę rzeźbami cudownemi na wieczne czasy, a szlachta młoda wyrabia się to na pisarzów, to na wojowników, itd. i przyozdabia koronę mężami wielkimi, na których barkach spoczywała świetność Polski jeszcze jakie dwa wieki!

Owóż to takie cuda zdziałała rodzina jedna, rodzina Jagiellońska, a za jej przykładem uzacnili się panowie. Ta Elżbieta została wdową— jak za życia męża, tak też i po jego śmierci rzadko ją stawiają dzieje na widowni politycznej, bo matka prawdziwa może być największą tylko w domu, bo to jej pole zasług. Dzieci i dom to matczyn raj! w rodzinie panuje jej ręka, ona rozrządza losem córek i synów i bez jej woli nic się w domu dziać nie powinno! Tak robiła Elżbieta.

Kiedy król węgierski Maciej z Huniadów Korwin, którego Węgrzy dla zasług ojca wybrali na tron, zażądał ręki królewny Jadwigi, córki Elżbiety, to chociaż to małżeństwo obiecywało świetne korzyści, chociaż sam król Kazimierz koniecznie pragnął tego związku, to matka Elżbieta jako najwyższa władza nad dziećmi, oparła się temu parciu i żądaniu i powiedziała:

Córki mej nie dam za prostaka Maćka—i tak się stało. Matka pobożna i poczciwa, nie widząc chęci swej córki do tego małżeństwa, nie miała sumienia zmuszać dziecka i stanowczo się sprzeciwiała. Tak samo stało się i z drugą córką Elżbietą, której ręki zażądał bogaty Hospodar Wołoski — to małżeństwo popierał sam król, nawet ulubieniec matki ów królewicz Oleś, prosił matkę za siostrą, nawet sama królewna nie była od tego, bo podobał się jej dorodny młodzieniec, ale matka odmówiła stanowczo mówiąc:

Moja córka wychowana w kościele katolickim, nie odda nigdy ręki i serca szyzmatykowi — i stało się jak matka zawyrokowała.

(*Dok. nast.*)

POEZYE

Pruszakowej Amalii z Chrz.

I.

PRZESTROGA.

Zdobne wdziękami dziewczę, spogląda
W czystą krynicę,
Jakby w zwierciedle widzieć się żąda,
A toń przejrzysta młodą dziewicę
Chętnie odbija; jakież odkrycie?

Piękna! i tak się sobie podoba,
Że w tym zachwycie
Szybko przemija poranna doba —

Nadszedł i wieczór, a ona jeszcze
Z sobą się pieści —
„Dziewczę! posłuchaj, bo słowa wieszcze,
„Wspomnij, że tego — co tylko mieści
„Skarby uczucia w zbytniej próżności —
„Niebo najwyższem szczęściem nie darzy
„Bratniej miłości,
„Że ten jak narcyz życie przemarzy. —

„Przebiegł ci ranek i dzionek cały
„W jednej godzinie,
„Z płochej zabawy jakiż zysk mały;
„Tak ci i życie prędko przeminie,
„Marzysz bez celu: zmrok cię zaskoczy,
„Nim się rozbudzisz, i... gdy w niebiosa
„Podniesiesz oczy,
„Zimna starości dotknie cię rosa."

II.

Czemu?

Czemu na niebie chmurka zwieszona
Burzą zagraża w przyszłości;
Plamka na barwę róży rzucona
Czemu jej szkodzi piękności?

Czemu kropelka deszczu zamąci
Wód przeźroczystych kryształy,
Gdy wiatr w przelocie listkiem potrąci,
Czemu zaszumi gaj cały?

Czemu, gdy duszy błękit pieszczony
Myśl jedna smutna zasłoni,
Nagle uragan wzrasta szalony
Myśli tysiące w świat goni?

Czemu, ach czemu w miłość zwątpienie,
Gdy się do serca zakradnie,
Szczęście i spokój zmieni w cierpienie,
Całe już życie owładnie?

TRZY GODZIN,

NOCNE WIDZENIE;

przez Józefa Dzierzkowskiego.

II.

In articulo mortis.

Przez chwilę trwało zupełne milczenie, przerywane tylko łkaniem Madeliny i szeptem zacnych lekarzy, układających receptę z wielkim wydatkiem nauk i wzajemnych kłótni.

— Nie umrzesz! powtarzała Madelina.

Chory patrzał na jej głowę spuszczoną z czułością świadczącą o jego bezgranicznem przywiązaniu.

— Dzięki ci kochana pani!..

— Powiedz Madelino!. błagam cię o to!..

— Madelino!.. ja chciałem cię widzieć raz jeszcze i..

— I... słucham...

— Siądź tu koło mnie!..

Posłuszna przyniosła stołeczek nowiutki, usiadła na nim i patrzała w chorego jak w tęczę. I chory patrzał w nią okiem wytężonem, i już ustami poruszał jakby chciał mówić, i znów je zamykał. Dziwny wyraz niepewności strzelał z oczu jego. To długie milczenie niepokoiło Madelinę, dla której usposobienia, tak w wielu rzeczach młodego jeszcze, wyobrażenie samo śmierci, miało coś namacalnie okropnego. Bała się jakby dziecko małe, by te oczy tak w nią wciśnione nie zamknęły się nagle. Więc bez myśli prawie ścisnęła go lekko za rękę. Jakby zbudzony ruchem galwanicznym zadrżał umierający, porwał za Madeliny białą rączkę i przycisnął do ust coraz zimniejszych. Oczy zalśniły silnem postanowieniem.

— Żal ci będzie za mną Madelino?..

— Drogi kapitanie!.. nie mów tego!.. odrzekła artystka, i serdeczne, gorące łzy spływały po bladem licu.

— Bo i mnie żal!.. nie za życiem!.. za tobą jedna!.. moja ty mała Madelinko!.. czy pamiętasz?..

— Czy ja pamiętam?.. kapitanie ty nie umrzesz, bom ja ci jeszcze nie miała czasu wywdzięczyć się.

— Nie mów mi Madelinko o wdzięczności. Jam nie dla tego poruszył tę pamiątkę dawną, ale widząc cię tak rzewnie płaczącą, mimowolnie przyszło mi na pamięć to śliczne dziecko!..

Madelina zamiast odpowiedzi, porwała znowu kapitana za ręce, i jęła je całować jakby ręce ojca.

Chory wyrwał ręce z pewną gwałtownością.

— Nie chcę tego!.. nie!.. rzekł głosem mocniejszym — bo ja..

Westchnął ciężko i przerwał sam sobie.

— Ja chciałem z tobą pomówić jeszcze, wiele pomówić, lecz już zabraknie czasu...

— Czemu? powtórzyła Madelina machinalnie.

— Nie mam ani chwili do stracenia.

— Ani chwili? powtórzyła znowu, i uczucie jęku i smutku razem ścisnęło jej serce.

— Madelino!.. czy będziesz często wspominać o mnie?.. nie zapomnisz mnie?..

— Nigdy!.. póki to serce bić i czuć nie przestanie.

— Wierzę!.. a przecież jabym rad zostawić ci Madelino jaką pamiątkę.

— Tu!.. odrzekła z płonącem okiem, i uderzyła się w piersi.

— Madelino!.. mówił kapitan dalej, jakby nie usłyszał jej wykrzyknienia. Ja mam prośbę do ciebie...

— Rozkaż!..

— Nie odmówisz umierającemu?..

— O mój Boże!.. czy możesz wątpić!.. Jabym ci oddała to moje życie niepożyteczne i złamane, chętnie by o rok, o dzień przedłużyć życie twoje... bo ty jesteś dobry!.. tyś był dla mnie!..

Śliczna była w tej chwili Madelina, bo z jej oczu widomie prawie sypały się iskry zapału.

— Tak lepiej!.. ty możesz być jeszcze szczęśliwa! Ja już nim być nie mogłem!.. nie mogłem!.. dodał z rozpaczliwym przyciskiem... i to mnie...

— Chciałbym, mówił po chwili, zostawić ci pamiątkę... ta trocha mienia mego już dawno tobie przeznaczona... tam w biórku pod twoim medalionem leży moja ostatnia wola...

— Kapitanie!.. przerwała Madelina z wyrazem wyrzutu.

— Nie przerywaj mi!.. mówił dalej, a głos jego przyspieszony i przerywany stawał się coraz słabszy. Bo czuję, że już niedługo mówić... niedługo widzieć cię będę... i ja też nie uważam tego za godną ciebie pamiątkę, godną mojego do ciebie przywiązania!.. to tylko dar przyjacielski... który przyjąć możesz, bo wiesz przecie, że ja nie mam prócz ciebie nikogo!.. Jabym ci chciał inną zostawić pamiątkę!..

Gdy to powiedział, podniósł głowę z ostatniem natężeniem, i jakby wszystkie zebrał jeszcze siły, oblał ją magnetycznym wzrokiem co mu z oczu wystrzelił. On, zdało się, wlał ostatniem natężeniem w ten wzrok swój całą energię żywotną, która za lat młodszych wielka być musiała. I rękę drżącą coraz więcej złożył na schylonej głowie Madeliny, która jakby ulegając tej sile magnetycznej, zapomniała w tej chwili na wszystko, i z uległością dziecka słuchała słów jego. Dla niej znikła cała przeszłość, syta już tylko chwilą teraźniejszą.

— Chcę ci Madelino droga zostawić nazwisko moje.

— Nazwisko?.. zapytała z naiwnem zadziwieniem.

— Tak jest!.. nazwisko moje!.. Póki go zechcesz nosić, będzie ci przypominać starego przyjaciela, który się od dziecka prawie ukochał całem uczuciem, jakie jeszcze wrzało w nim...

Madelina podniosła ku niemu pytające oczy.

— Mnie tem ostatnią dasz pociechę!.. ostatnią chwilę życia mego osłodzisz!.. dasz chwilę szczęścia, która na całe twe życie spadnie błogosławieństwem.

Madelina słuchała go z religijną uwagą.

— Na tych chwil kilka, które mnie jeszcze dzielą od wieczności, zostań żoną moją!..

— Twoją żoną?.. zawołała głośniej i wielkie oczy wypatrzyła.

— Chwilę jednę może!.. dla mnie chwilę szczęścia!.

— Drogi mój przyjacielu!.. jabym tobie życie moje oddała z ochotą... o gdybyś mógł żyć tylko!..

— W takim razie żałowałabyś poświęcenia, ofiarowanego w chwili żalu i zapału..

— Nie!. nigdy!.. przemówiła wznosząc ręce w górę, jakby chciała Boga brać za świadka, ale w tej chwili gorący rumieniec rozlał się jej po twarzy, a w piersi zadrgało jakieś uczucie pomieszane, niezrozumiałe...

— Więc przystajesz Madelino?.. na ślub!..

— Ślub!.. ale kiedy?..

— W tej chwili zaraz!.. przepisy kościelne pozwalają na taki ślub... *in articulo mortis!..*

— Żyj tylko!. żyj drogi przyjacielu.

Chory przez ten czas osłabł mocno; bladość coraz większa pokrywała twarz jego... oddech stawał się cięższy, a w oczach tylko tliła się jeszcze iskra życia.

— Klaśnij w dłonie!.. niech przyjdzie mój stary Jędrzej.

Madelina klasnęła; wszedł stary sługa kapitana, co z nim od lat dziecinnych prawie dzielił wszystkie życia koleje, i był fanatycznie przywiązany do pana swego. Stary Jędrzej miał oczy napuchłe od płaczu, a na twarzy postarzałej przez tę godzin parę był wyraz rozpaczliwego usposobienia.

— Jędrzeju!. stare dziecko!.. przemówił umierający. Jędrzej też jak dziecko głośnym wybuchnął płaczem.

— Co pan każe?.. zapytał machinalnie z przyzwyczajenia...

— Idź po księdza!.. do karmelitów po księdza Bernarda!. i proś go by przyszedł!. odbyć ślub i ostatnie pomazanie. Spiesz się Jędrzeju!.. spiesz na miłość Boga!.. jak mnie kochasz mój stary!..

Jędrzej nic nie odpowiedział, jeno surdutem otarł łzy, i jednym skokiem był już za drzwiami; krok jego przynaglony w ciszy nocnej, słychać było po schodach i na bruku ulicznym.

Doktorzy słysząc polecenie przez chorego dane Jędrzejowi, ruszyli oba ramionami, i drwiące przystroili miny.

— Chodźmy do drugiego pokoju napisać ułożoną naszą receptę. Snać się już przecie ugodzili zacni lekarze. I wychodząc najspokojniej się jeszcze przy drzwiach rozmawiali. A oba byli przecie z kapitanem w stosunkach niejakiej zażyłości.

W pokoju chorego było cicho zupełnie. Kapitan odpoczywał po ostatniem natężeniu, ale oczu nie zwracał z Madeliny, po której twarzy ciche już tylko łzy padały perłowemi kroplami. Dziwne było jej usposobienie; chciała myśleć... bo to przecież chwila tak wielka i stanowcza!.. ale nie mogła. I serca próbowała zapytać... i serce nic nie odpowiedziało. Nieraz dawniej w tak rozmaitych barwach malowała sobie chwilę ślubu tyle ważną dla każdej kobiety!.. Teraz daremnie szuka dawnych barw... za dawnemi goni marzeniami. Jej się zdaje, że całe życie zamyka się w tym klekotaniu wielkiego zegara, który słychać z drugiego pokoju. Ona tylko zda się ważyć w my-

śli czas co uchodzi, i śledzi tylko z niewymowną bojaźnią zmiany, jakie się jej zdaje widzieć na chorego twarzy. I coraz mocniej ściska swemi gorącemi rękami jego ręce coraz zimniejsze i sztywniejsze, jakby chciała powstrzymać życie uciekające, jakby chciała swe własne w niego wlać życie.

I on patrzy na nią, i z równem prawie uczuciem bojaźni śledzi w jej oczach i na jej twarzy, czy nie dojrzy jakiego śmiesznego wyrazu.

— Mnie żal ciebie Madelino!.. jeszcze czas... pożegnaj mnie jednym uściskiem... i porzuć mnie!.. ja umrę sam, jak żyłem sam!.. o mój Boże, jak okropnie sam...

— Czy ja na to zasłużyłam?!. odpowiedziała Madelina z wyrazem takiej słodyczy, pokory i szczerości, że na gasnące oko chorego resztki życia wybiegły dużą łyszczącą łzą.

— Daruj!.. i bądź błogosławioną Madelino moja!..

— Twoja!.. odpowiedziała.

Ruch głośniejszy ozwał się z ulicy; zatętnił dzwonek. To ksiądz zbliża się do umierającego z ostatnią pociechą i ostatnią nadzieją.

— Idzie już!.. dzięki ci Boże! wyrzekł umierający.

— Dzięki! powtórzyła Madelina, śliczna w tej chwili jak anioł, boć serce jej biło, co w niem było najczystszego.

Wszedł ksiądz z zakrystyanem; twarz starca jakby z ram świętego obrazu wyjęta, poważna ale łagodna nad wyraz. Snać jego rachunki z ziemią dawno skończone; on już tylko pośrednikiem tego Boga miłosierdzia i nadziei, któremu już jedynie chce służyć dla dobra tych ludzi, których już tylko kochać, którym tylko przebaczać umie.

Za nim wszedł Jędrzej bezprzytomny prawie. Dla starego sługi śmierć pana to śmierć jego własna. I weszła służąca Madeliny, proste ale poczciwe stworzenie, które w takiej chwili płakać tylko umie. Weszli wreszcie obaj medycy dodając sobie powagi, która ich tylko śmieszniejszemi czyni; p. Lancetowski trzyma w ręku papier podłużny, zamazany cały receptowemi hieroglifami. Równocześnie przystąpili do łóżka: ksiądz z panem Bogiem, a medycy z receptą; ksiądz z pewnem lekarstwem dla duszy szczerych i wzniosłych uczuć zdolnej, medycy z nader wątpliwem lekarstwem dla ciała. Chory podniósł znowu głowę... i pogardliwym gestem skinął na lekarzy.

— Żadnego nie chcę lekarstwa!..

I ksiądz skinął na nich z powagą.

— Ustąpcie!.. przemówił — Bóg pierwszy i ostatni.

Lekarze wykrzywili się istną małp karykaturą i usunęli się na bok.

— Na świadków proszę!.. rzekł jeszcze chory.

Lecz oni i tak oddalić się nie myśleli. Nie wstrzymuje ich wszakże ciekawość nawet, oni czekają na ślub, bo po śmierci męża, żona przecie zapłaci honorarium.

Słów kilka wystarczyło, aby staruszek karmelita zrozumiał o co rzecz idzie. Wzrokiem serdecznego politowania, którego źródło brał od Boga samego, spojrzał na te dwie twarze kapitana i Madeliny w tej chwili tak bardzo zbliżone ku sobie, a przecież tak oddzielone — różnicą wieku i coraz bliżej a ciemniej nasuwającą się zasłoną co dzieli życie i śmierć. W kilku słowach zapytał oboje, azali jest ich wolą nieodmienną połączyć się węzłem małżeńskim, i przemówił do nich kilka słów serdecznych. Stary karmelita miał łzy w oczach, gdy im mówił o wiecznem połączeniu, on łzami już tylko litości trzymał się ziemi.

Postawił krzyż hebanowy z słoniowym wizerunkiem Zbawiciela na stole, i zabrał się co prędzej do używanego przy ślubach rytuału.

Madelina posunęła rękę drżącą z lekka, ku ręce kapitana, gdy tuż za sobą usłyszała szmer jakiś. Spojrzała za siebie, jakby w powietrzu zawieszona zalśniła jej na tle ciemnem oczu para, lśniących wyrazem przerażenia i gniewu... to były oczy Augusta!..

Madelino!.. zastanów się!.. szepnął jej w ucho głos jego drżący burzą wewnętrzną.

Madelina skinieniem ręki wskazała mu drzwi; to skinienie było tak poważne i stanowcze, że August zacisnął zęby jeno, i cofnął się mimowolnie. Lecz oczy jego zalśniły jeszcze zapalczywszym wyrazem, i nie mogąc nic już więcej w swojem przemówić imieniu, wysyknął drżącemi ustami:

— Madelino!.. a on!.. i jego zapomniałaś?

Madeliny ręka już była w ręku kapitana. Może lekko zadrżała, ale okiem przez chwilę rzuconem za siebie dała skinienie tak surowe, że August jęknął tylko przytłumionym głosem, i spiesznym wybiegł krokiem.

Jakkolwiek ślub ten był próżną tylko ceremonią, nie chciał być jego świadkiem.

Cicho poważnie odbył się ślub cały. Oboje wymówili wszakże słowa przepisane z pewnym uroczystym przyciskiem. Przy tych słowach szczególnym blaskiem rozpromieniły się oczy chorego. Madelina była także promieniąca wyższem uczuciem, boć przy ostatniem słowie nie mogła powstrzymać pół westchnienia, co się jej z piersi wydarło mimo woli. I cóż dziwnego! Czyliż wszystkie jej młode, wszystkie cudne marzenia miały się kończyć na tym dziwnym związku, który miał ją przykuć do trupa prawie?..

Jędrzej i służąca Madeliny towarzyszyli obrzędowi głośnem łkaniem, a medycy spojrzeniami drwiącemi. Bo tam to byli ludzie prości, a to ludzie wykształceni.

Po skończonym obrzędzie ślubnym padli wszyscy na kolana. To drugi rozpoczął się obrzęd — pojednania z Bogiem — obrzęd ostatniego z światem obrachunku. Kapitan upadał widocznie na siłach; czoło jego świeciło potem kroplistym. Ksiądz Bernard po skończonych obrzędach, gdy jako stary znajomy i przyjaciel, złożył pożegnawcze pocałowanie na czole umierającego, usta

jego zadrgały po dotknięciu lodowych zimnego potu kropel. Wyszedł ksiądz a za nim Jędrzej i służąca Madeliny. Lekarze nie zdecydowani kręcili się także koło drzwi, patrząc na się wzrokiem wzajemnego porozumienia. Przeciwnicy na ulicy, w kłótni przy łożu chorego, byli w zgodzie i porozumieniu najlepszem, gdy przyszło do odebrania zapłaty. Więc też i teraz radzili się wzrokiem niejako, jakby tu prędzej dobrać się do tej zapłaty.

Nowi małżonkowie nie zważali nawet na nich. Milcząc przez długą chwilę, patrzał kapitan na młodą małżonkę, której twarz zawsze tak pełna uroku, wyszlachetniała i wyładniała jeszcze pod wpływem tego uczucia wyższego, jakie w tej chwili przepełniało jej serce.

— Żono moja!. przemówił wreszcie kapitan, i drżące ręce wyciągnął ku Madelinie.

— Mężu!. odrzekła serdecznym głosem i pochyliła się ku niemu.

On ledwie się jej dotknął rękami, i tylko usta przycisnął do jej białego czoła. Pocałowanie to było długie, serdeczne, ale czystszem i ojcowskie byćby nie mogło.

— Dzięki ci Madelino, za tę chwilę szczęścia niewymowną.. Ja cię błogosławię mój aniele pociechy.

I ręce wzniesione złożył na jej czole, a oczy łzami lśniące wzniósł do góry.

— Żyj! żyj!. mój drogi!.. łkając mówiła Madelina.

— Boże mój błagam cię!.. dodała, padając na kolana...

— Dobra Madelino!.. nie błagaj o to, byś wybłagawszy nie żałowała.

— W takiej chwili, nie godzi się takie mówić słowa!.. powtarzam ci... ja na nie niezasługuję.

— Daruj!.. mówił dalej, a głos jego stawał się coraz cichszy, a oczy zapadały coraz głębiej, i powieki coraz cięższe spadały coraz niżej.

— Jeszcze ostatnie błogosławieństwo! i idź teraz.

— Moje miejsce tu!..

— Chcesz zostać?..

— Żona przy mężu!..

— Dobrze, zostań... mówił znowu, a w głosie był półśmiech gorączkowy... oczy mi się kleją... to sen.. sen tylko... ja usnę...

Przestraszona Madelina spojrzała na lekarzy, którzy radzi temu spojrzeniu zbliżyli się do łóżka. I oba słysząc słowa chorego, porwali każdy za jednę rękę, kiwnęli głowami i ważną przybrali minę — a widząc pytające Madeliny oczy.

— Może uśnie—rzekł chudy z makową główką— ale już się nie zbudzi; puls ledwie na kilka minut wystarczy.

— Uśnie zapewne... dodał gruby z arbuzem miasto głowy, ale bez obudzenia — już mu pulsu brakować zaczyna.

— Ale my musimy iść do innych chorych...

— Tak jest i dla tego...

— Żegnam panów!. odrzekła Madelina z gorzkim wyrazem pogardy na ustach. Rozumiem panów, żona zapłaci za męża.

Skrobnęli nogą, i odeszli.

— Więc nie idziesz?.. mówił chory wyraźnie, ale z wielkiem już natężeniem... nie odchodź... błagam!.. spokoju... cichości mi potrzeba... ja usnę, ale ja się zbudzę... czy mnie nie odstąpisz?.. i nie pozwolisz, by mnie niezgrabni... ci ludzie ratowali..

— Nie odstąpię ani na chwilę...

— Już mówić nie mogę... Madelino!. kocham ciebie... nie odchodź!..

Oczy się zamknęły... usta zapadły... westchnienie głębsze uleciało... już zda się zasnął.

— Madelino!.. ozwał się głos słaby, jakby z oddali... ja ciebie... przepraszam... bo!..

Ucichł głos... Madelina biedna, drżąca cała przyłożyła głowę do leżącego... usłyszała oddech, ale tak powolny, tak cichy, że się jej serce ścisnęło okropnie.

— Już go widzieć, już go słyszeć nie będę!.. drżało jej w uszach...

Usiadła na krześle i załamawszy ręce siedziała nieruchoma.

I cicho było, bardzo cicho w ciemnym pokoju; słychać tylko było klekotanie starego zegara, i szum wiatru po ulicach, co się zdawał żałosnemi jęczeć głosami.

(*C. d. n.*)

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Przez cały wielki tydzień teatr był zamknięty; ale za to po pierwszym dniu wielkiejnocy dyrekcya daje przedstawienia teatralne bez ustanku dzień po dniu. Nie znajdujemy by to było dobrze. Jestto przedewszystkiem na zupełną niekorzyść publiczności, która musi słuchać same już ograne sztuki bez prób, bez przygotowania odegrane, i z konieczną niechęcią artystów, których, choć są płaceni, należy uwzględniać jako ludzi przecie, i przesadzonej nie kazać im odbywać pańszczyzny. Dodajmy, cośmy już raz nadmienili, że granie przed teraźniejszą zanadto obozową publicznością, nie jest wielką przyjemnością dla artystów, którzy sami siebie ledwie słyszą wśród gwaru głośnych pogadanek i ciągłego wrzaskliwego niepokoju, z jakim młodzi widzowie dmuchając kłębami dymu cygarowego, robią sobie uwagi nie zbyt oględnie wyrażane o artystkach mianowicie, śmieją się z lada dwuznacznika, i jeszcze każą je sobie powtarzać—tak, że często artystka mająca czucie przecie, nie stojąca przecie na równi

z jakiemiś linoskokami -- chętnieby się pod ziemię schowała przed takim i sztuki i osoby ubliżeniem. Mło dzież nasza ma przecie uczucia szlachetne: powinnaby zatem pilnować się lepiej w tej mierze, i pamiętać, że przyzwoitość i grzeczne obejście się najchętniej idą w parze z odwagą i bohatyrstwem.

Na drugi dzień świąt zapowiedziane były: *Skalmierzanki;* ale dla słabości pni *Krajewskiej* przemieniono sztukę, z czego cieszyliśmy się niepomału, bo jakkolwiek stary Kamiński pokostował z wierzchu tę sztukę po narodowemu, wygląda zawsze z głębi... licha farsa niemiecka. Grano natomiast trzy sztu(zki. Zaczęła widowisko *Przysługa;* jest to wyborna i pełna życia komedyjka francuska, wyborniej jeszcze odegrana przez pnę *Biedrońską* mianowicie, i przez p. *Królikowskiego*. Pna *Biedrońska* gra swoją żywą i naturalną mogłaby najczarniejszego hypokondryka do śmiechu pobudzić. Przejście z zazdrości udanej do prawdziwej oddaje zwykle p. Królikowski bardzo dobrze; tym razem wszakże grał z mniejszym humorem. Pna *Germann* swą rolkę mierną i bierną odegrała jeszcze mierniej i biernej a w dodatku roli swej niewiele umiała. Pna *Germann*, jak już mówiliśmy dawniej, ma wcale niezły talencik, ale nie powinna zapominać, że jedna lub druga rolka nie źle odegrana, jedno lub drugie niezłe powodzenie, jedna lub druga krytyka pobłażliwa, artystce nie wystarczą. Trzeba się kształcić koniecznie i strzedz zarozumiałości. Dodamy jeszcze jedną życzliwą uwagę, by unikała tej od niejakiego czasu przyswojonej manii stawiania jakichsiś *pozów*. Przybiera postawy i ruchy niby salonowe, niby eleganckie, z których przeziera nieumiejętne naśladowanie. Wygląda to zaprawdę jakby *fajans* chciał udawać porcelanę. I z fajansu mogą być bardzo kształtne wyroby, ale nie trzeba zapominać o fajansowym początku.

Nastąpiły *Łzy kobiece*, wesoła także komedyjka francuska, wybornie przez p. Langego przerobiona. Wszystkie w niej role doskonale obsadzone. Pna *Biedrońska* oddaje młodziutką i naiwną jeszcze mężatkę z właściwą swej grze prawdą. Chwile te dwie najważniejsze, w których naprzód nauczona przez przyjaciołkę udaje łzy, a potem szczerem uczuciem poruszona, prawdziwemi płacze łzami, oddaje po mistrzowsku. Przejście z naiwnej pustoty do serdecznego uczucia cieniuje z porywającą naturalnością. Pna *Hofmann* rolę doświadczonej, bo powtórnej już małżonki, oddaje także z żywością i naturalnością znakomitej artystki, która jest niezaprzeczenie. Panowie *Królikowski* i *Benda*, w rolach mężów wtorują im doskonale. P. *Dębicki* małą rolkę starego sługi oddaje także z całem pojęciem artystycznych wymagań, o co się stara w każdej choćby najmniejszej rolce.

Zakończył widowisko dnia tego *Berek zapieczętowany*, stara i zużyta klejonka, którąby już naprawdę można było na wieki wieków zapieczętować w każdym repertoarze. Jest to utwór długi, rozwlekły i nudny — prawdziwie bez głowy i nóg, bo nie ma ani związku jakiegoś dramatycznego, ani sensu moralnego. P. *Delchau* robi co może, ale najlepsza gra nie podniesie lichej ramoty. Rolę tę oddałby p. *Dębicki* lepiej.

Nazajutrz odegrano *Fredry*, *Magnetyzm serca*. Komedya to wiecznie dobra, bo pełna prawdy, poezyi i życia, Dla słabości pny *Biedrońskiej* rolę *Anieli* odegrała pna *Marya Łapińska*. Artystkę zastępywała debiutantka, która według wszelkiego prawdopodobieństwa zostanie na zawsze debiutantką. Lecz już o jej grze w tej samej roli mówiliśmy dawniej. Tem się też lepiej wydała przy niej pna *Safir* w roli *Klary*. Pna *Safir* ma w rzeczy samej wiele talentu, i mogłaby wyżej daleko stanąć, gdyby się nie zaniedbywała — co ztąd pochodzi, że artystka, jak się zdaje, zawodu swego dramatycznego nie uważa za pierwsze i główne zadanie swoje. Nieraz się tak wydaje, jakby ten zawód nie był u niej celem, ale środkiem tylko. Rola *Radosta* należy do najlepszych ról p. *Wolskiego*. Odegrał ją i tym razem wybornie.

Dodano bezpotrzebnie do pięciu aktów tej wybornej komedyi, komedyjkę ze śpiewkami p. t. *Ulicznik Warszawski*. Mimo doskonałej gry pna *Bendy* w roli *Rzemyczka* czeladnika szewskiego, możnaby już także całą tę ramotę, do czasów dzisiejszych zupełnie niestósowną, złożyć *ad acta*.

W środę nareszcie grano: *Wąsy i Peruka* I o tej sztuce mówiliśmy już obszerniej. Ma ona swoje nie złe strony, lecz nie należałoby jej bardzo często powtarzać, bo w końcu stać się musi dla publiczności wielce niestrawną. I tak podtrzymuje ją głównie gra znakomita p. *Królikowskiego*. I w tej sztuce gra pna *Safir* wcale dobrze. Raz jeszcze przypominamy jej, by oględniejszą była w przesadnem strojeniu się. Jedwabie, aksamity i złote świecidła, które nie każda zapewne artystka mieć może i mieć chce, nie stanowią istoty artystki. Taka wystawa bransoletek i broszek, ma coś w sobie tandeciarskiego i żydowskiego, czegoby już czas było pozbyć się zupełnie.

Wiadomość literacka.

Zjawił nam się nowy, natchniony, więc prawdziwy poeta w osobie Aleksandra Kraushara. Zbiór jego poezyj wyszedł w Warszawie 1863 r. pod napisem *Listki*. Polecamy te *Listki* wszystkim tkliwym i wzniosłym sercom.

Uwaga. W ostatnich numerach naszego pisma przez zapomnienie nie umieszczono nazwiska autora pod wierszem *Symfonia życia*. Autorem wymienionego utworu jest ś. p. Jan Kanty Szymański.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza.